

Radziwiła jest z nami, gdy tu bawi jego Wódz Naczelny. Ani mnie to przeraża, ani dziwi. Dziś chcę jego wspomnieć nie jako umarłego, lecz jako żywego. Rycerska prawda tego domu uosiobiła się w nim. Duma wielkiego domu, który tak dawno przeszłości naszej służył, zlały się w nim z wierną i twardą służbą żołnierza. Dom Radziwiłłów dał nam w przeszłości szereg ludzi, co w służbie państwa zasłynęli czy na polach bitew, czy w radach senatorów.

Piję dziś nie za pamięć o poległym, gdyż wierzę, że pamięć o nim żywa będzie wśród panów, lecz dziękując, wrzucony przemówieniami poprzedników, toast ten wznoszę za ród Radziwiłłów, goszczący mnie dziś, by pozostał równie wieczny, jak te stare mury Nieświeża...

PRZEMÓWIENIE PRZEZ RADIO W ÓSMĄ ROCZNICĘ ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

(11 listopada 1926 r.)

W związku z obchodem ósmej rocznicy odzyskania niepodległości wygłosił Piłsudski dnia 11 listopada 1926 r. przez radio niżej przytoczone przemówienie o cudownych przemianach zaszłych między latami niewoli a czasem odzyskania wolności i o błogosławionych skutkach, gdy ze «wskrzeszeniem ciała» i «odrodzeniem duszy» następuje.

Tekst podajemy według «Głosu Prawdy» z dn. 12 listopada 1926 r., który ogłosił przemówienie według stenogramu dostarczonego pismom przez wydział prasowy «Polskiego Radia».

Siedzą przy mnie dwa dzieciaki, dzieciaki miłe, i proszą o bajkę. Dlatego też powiem paniom i panom bajkę dla dzieci i dla dorosłych. «Tyle szczęścia, co jest we śnie, tyle prawdy, co jest w pieśni»¹⁾. Tak pan jakiś pisał, z panów jeden taki był, co pisał, a my, co czytamy, niekiedy mu wierzymy, a niekiedy nie. Ale za to dziś prawdę powtarzam, «bo są czary i są dziwy, byle ktoś tam był szczęśliwy».

¹⁾ Jest to trochę zmieniony cytat z «Pieśni o ziemi naszej» Wincentego Pola. Oryginalne brzmienie jest następujące:

«Tyle szczęścia, co człek prześni,
Tyle życia, co jest w pieśni».

Razu pewnego zobaczyłem gromadkę dzieci, schyloną i skurczoną nad jakimś przedmiotem. Patrzyłem zdumiony, co na brudnym, śmietnistym podwórzu one widzieć mogły, i dojrzałem małą żabkę. Żabka, w błocie utyłana, zabrudzona, w piachu wywalana, skakała niezgrabnie na długich nogach i wylupiastymi oczkami łyskała na dzieci. Zapytałem dzieciaka — na co wy tu patrzycie? Na to mi jeden chłopak odpowiedział, że przecież była taka żabka na świecie, co — on sam o tym czytał — na śmietniku skakała, a nagle przez czary i dziwy wyjechała złocista karetą — ogromna karetą, w sześć rumaków wielkich zaprzężona. Sześciu wielkich hajduków pod uzdy rumaków trzyma, a z karety wysiadają panie, strojne nad wyraz! Panie pudła z karety wyjmują i, o czary! i, o dziwy! — z żabki robi się nagle cud dziewica, cud dziewczyna — o przepięknych oczkach i liczku! Tylko łachmanami przedartymi się chroni, zziębnięte ciało gołe przez dziury świeci i oczy ma cudne i piękne liczka. Z żaby, zatyłanej, w błocie uwalanej, tak piękna dziewczyna wyskoczyła z karety, a panie, strojne nad wyraz, niosą koszulkę białą, koszulkę cienką — jedwab najlepszy. Za koszulką idą pantaloniki, falbanki strojne, piękne, ładne falbaneczki, a gorsecik, co jej na piersi zawiązują, taki jest barwny, taki ładny — sznurki jedwabne...

Dziewczyna sama sobie się przypatruje i dziwi się. A suknia, w którą ją przybierają, w białe perelki, róże, przeszzyta złotem, srebrem, świeci. Piękna dziewczyna patrzy na nóżki. A na nóżki idą już pończoszki śnieżno-białe i ciepłe, a tak ładne, że nóżki, czerwone od chłodu, w biały marmur się zamieniają, by pięknie przeświecać przez śliczne pończoszki. Ale co tam pończoszki! Kiedy wreszcie przynoszą pantofelki, nad białość białe, nad puchy miększe, cieniutkie, i jej na małe nóżki chłodne wdziewają! Żabę brudną, na dziewczynę cudną przez czary zmienioną, wsadzają do karety i jedzie ona na białe, na wielkie pałace i sale. W pałacach i salach posadzki świecą, jak lustra, i w lustrze takim dziewczyna cudnej swej piękności się przygląda, a złe dziewczęta, z zazdrości żółkłe, gwarzą i szepczą o niej, jako o złej i przewrotnej dziewczusce. A panie złe i macochy złe rzeczy do ucha sobie szepczą. Są więc czary i dziwy, kiedy dziewczę jest szczęśliwe. Powiadają, że bajek na świecie nie ma!...

Tak mi chłopak mówił i czekał, żeby z żabki cud dziewczyna wyskoczyła i karoca na śmietnisko zjechała. Sam nie wiem, czy to bajki prawdziwe, ale, że są czary i dziwy, kiedy ktoś jest bardzo szczęśliwy, to jest prawdą. To ja sam na wła-

sne uszy słyshałem, na własne oczy widziałem, własnymi palcami dotykałem takich czarów i dziwów, że doprawdy aż opowiadać strach. Prawda, że może nikt z nas miłego dzieciaka nie widział, któryby nagle, po lesie biegając, poziomki zbierając, zobaczył las z pierników i pierniki, jak gałązki, oblamując, do ust wkładał. A któż dziecko widział, które nagle, skacząc na jednej nóżce, w ogrodzie zaczarowanym się znalazło i widziało na gałęziach czar-ptaki, wesoło szczebioczące i wesoło pomiędzy sobą mówiące? A któż miłą dziewczuskę widział, która w ogrodzie zaczarowanym się znalazła? Tutaj widziała, jak grucha sama jej do buzi idzie, by sok z niej wyssała, a rumiane jabłuszka do kieszonki spadały jej same z gałęzi. Ja zaś wierzę, że taka dziewczuszka gdzieś istnieje, że takie chłopaki żabki ładne oglądają, gdy w cud dziewicę się zmieniają, bo są czary i dziwy, kiedy dziewczę jest szczęśliwe, bo są czary i dziwy, kiedy chłopak jest szczęśliwy. Ja własnymi uszami słyshałem, palcami dotykałem i widziałem czar nad czary, cud nad cudy i o tym wam opowiem.

Był kiedyś listopadowy dzień, jasny, kiedyś roczków niewiele, a działy się wtedy czary i działy się dziwy. Na drodze błotnistej, w błoto wszędzie zawalanej, ciągnie szary, krótki i niedługi — wąż szary chłopaków i chłopców.

Tak samo, jak ta żabka niezgrabna, skacząc szli, zmęczeni, przytupując niekiedy zmarzniętymi nóżkami, po drodze błotnistej, szarej i wilgotnej. Biedne chłopaki, biedni chłopcy! Przytuleni do siebie, drżeli z zimna, oczki ich były niewyspane, po nocy ciężkiej i ciężkich dniach wielu. Nogi zmoczone w trzewikach podartych, w błocie utyłanych, szli, tuląc się często do ziemi, by choć na chwilę przykucnąć i przez chwilę odpocząć. Szli, ciągnęli w dzień 11 listopada, hen! gdzieś pod mury Krakowa¹⁾. Na czele ich jechał chłopak inny, jechał na młodej kasztance z łysą głową. Kasztanka, córa pól i łąków, zalotnie szła w miasto, skąd przyszli biedne chłopaki, w błocie utyłani, w łachmany odziani, skąd przyszli chłopcy, co na grzbietach kubraki zawieszane, zapaskudzone insektami, w koszulach brudnych, jak ziemia sama, szli do miasta. Jakaż przeszli oni ciężką dolę! Szli noc całą, tak, że śmierć im wszędzie w oczy zaglądała. Szli przez bramy śmierci, przez wrota jej ciasne i duszne, szły biedne chłopaki, czując śmierć za sobą.

A prowadził ich chłopak inny, idąc z nimi po błocie w wozach ciemnych, przez lasy ciemniejsze od ciemności. A gdy

¹⁾ Mowa o marszu legionistów spod Uliny do Krakowa w dniu 10 listopada 1914 r. Por. t. IV, str. 248—305.

księżyc z za chmury na nich wyglądał, wydawało się tylko, że to blask kosa śmierci w oczy im błyska. A nieprzyjaciół, co na nich czyhali, śmierć im niosąc, było bez liku, było bardzo wielu. Szli biedni chłopcy i biedne chłopaki, do ziemi przyciśnięci, brudni i zawszeni, podarci i obdarci, jak żebraki, szli, tęskniąc do murów Krakowa, gdzie o schronieniu tylko i o spoczynku marzyli. Biedni chłopcy, biedne chłopaki, tak, jak owa żabka, po brzegach śmietniska niezgrabnie skakali. A na czele ich jechał chłopak inny, jechał na ładnej wiejskiej klaczy, co w złocie słońca złotym włosem lśniła. Klacz szła zalotnie do miasta i kiwa im na wszystkie strony. Lecz miasto złym okiem wiejską klacz spotkało. Gdy wchodziła już w pierwsze domy miasta, z góry pędziło straszdyło-auto, hucząc i sycząc, łomocąc bruki miejskie puste i próżne, tak, jak puste i próżne główki bywają i łomocą i krzyczą swą prostotą.

I klacz wiejska na zadzie przysiadła, nogami brykała. Prychać nozdrzami ze strachu zaczęła, a ów chłopak uspakał ją głaskaniem i batem i zaczął mówić jej o czarach i o dziwach. «Poczekaj, kasztanko, nie tutaj będziesz, w stolicę wejdiesz, w bruki jej kopytami zadzwonisz, lud mnogi patrzeć na cię będzie. Na twoją szyję ładną i na twój złoty włos!... Nie bój się, kasztanko! Próżny strach twój tutaj!...» I nie wiem i wam nie powiem, dlaczego to tak było, lecz są czary i dziwy, kiedy chłopak jest szczęśliwy. Czy to na wieżach marjackich, koroną zdobnych, są czarowne słowa, czy hejnały, co godziny liczą, może w dźwiękach zaczarowane mają, czy w wielkim dzwonie Zygmunta, co na Polskę sercem bije, jest siła czarowna, czy w podziemiach Wawelu króle, śpiący snem wiecznym, czary w ustach mają, czy w trumnie Kościuszki, czy w wielkiej trumnie Mickiewicza głosy w spiżę czarów biją, nie wiem i nie powiem. Lecz są czary i dziwy, kiedy chłopak jest szczęśliwy!...

Więc minęło roczków niewiele, latek niedużo, dzień goni dzień, noc nockę prześciga, przyszedł znowu listopada dzień 11 — patrzy znowu kasztanka ta sama, łysym łbem kiwa, a świat zaczarowany przed jej oczami się przesuwa. W stolicy bruki pod kopytami jej dzwonią i wszystko zupełnie inaczej wygląda. Czar nad czary i dziw nad dziwy! Kasztanka idzie, łbem łysym kiwa i wciąż się dziwi, gdzie chłopiec szary i brudny, gdzie pan mój zawszony? I, łbem kiwnąwszy, sięga do swego pana. Ten sam — ten samiuteńki, lecz cóż się z nim dzieje? Patrzcie, jaki zmieniony! Na piersi gwiazd tyle, ile państw liczy świat. Na piersi wstęga, co kolorem nieba i za-

łoby o zwycięstwach mówi w wielkiej wojnie i do niebios o zwycięstwie krzyczy ¹⁾. Grzmią bębny warkotem okrutnym. Brzmia trąby mosiężne krzykiem, wołając żołnierzy. Idzie lud zbrojny, idzie twarda w zbrojach piechota, hełmy na nich stalowe, świecą lufy żelazne, idą krokiem twardym, miarowym, idą po zwycięstwo. Za nimi, w spiżę zamknięte, ciężko i twardo idą armaty. Wśród ognia szły konie, prężąc ciała, wielkich armat ciężkie koła bruki przebijają, aż szyby się trzęsą. Za nimi malowane ułany nad ułany! Jedni idą konni, drudzy spieszeni, a trąby mosiężne i warkot bębnów, fanfar odgłosy o zwycięstwie mówią. Świat cały jest zaczarowany! Kasztanka łbem kiwa i wciąż się dziwi, bo są czary, bo są dziwy, kiedy chłopak jest szczęśliwy. Świat zaczarowany, przemiany ogromne, skąd idą? dokąd płyną? czy z bajek i czarów? czy z czego innego?

Panie i panowie, którzy mnie słuchacie, pozwólcie, bym skończył, bo czas już upływa, bym skończył życzeniem na dzień 11 listopada przyszłego roku. Nie wiem, panie i panowie, jak powita nas 11 listopada w przyszłym roku. Może nam szyby deseniemi szronu przesłoni i śniegiem przyprószy dachy i ulice miasta. Wiemy, że gdy przy wskrzeszeniu ciała i duszy odrodzenie się odbywa, ciepłem od zimna się schronimy. Może listopad przywita nas wicherą, wiewem wiatru, co w szyby dzwoni i w kominach jęczy, co o śmierci mówi i o strachach krzyczy — wiem, że wskrzeszenie ciała z odrodzeniem duszy siłą i piękno w jedno razem zwije. Wichury złamiemy i tarczę ochronną przeciw wiatrowi znajdziemy. I nie wiem, panowie, być może w wilgotny dzień jesienny, z chłodem przenikliwym wilgoci dzień 11 listopada nam rzuci. I wtedy też z wskrzeszeniem ciała, z duszy odrodzeniem ciepło wewnętrzne znajdziemy, co wilgoć i zarazę zdusi. A może uśmiechnie się tak, jak uśmiechało się w czarownym dniu 11 listopada 1918 roku? I słońko jesiennie lica przygrzeje i wiatr łagodny w twarz chłodzić będzie i wtedy z duszy odrodzeniem znajdziemy wspólny uśmiech szczęścia z bytowania z duszą wielką i odrodzoną. Życzę paniom tego i panom i miłym dzieciom...

Do widzenia państwu!...

¹⁾ Mowa o wstędze orderu «Virtuti Militari», która ma dwa kolory: czarny i błękitny.